

Bronisław Świderski
Asystent śmierci





Bronisław Świderski
Asystent śmierci

Powieść o karykaturach Mahometa,
o miłości i nienawiści w Europie

Patronat medialny:

onet.pl



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Wydanie I

Warszawa 2007

Demokracja, czysta racja

Szczęśliwy, komu los spletał figła! I ten, komu dał prztyczka w nos! Mnie bowiem życie potraktowało o wiele gorzej: splunęło mi po prostu w twarz! Nie chcę niczego ukrywać w tej opowieści: mój kopenhaski pracodawca, Kierkegaard-ForskningsCenteret, obraził się na mnie, gdy otwarcie i w zupełnej zgodzie z regulami duńskiej demokracji opublikowałem w gdańskim „Przeglądzie Politycznym” artykuł o antysemityzmie chrześcijanina Kierkegaarda. Uczyniłem to w 2005 roku, tuż-tuż przed wydrukowaniem w „Jyllands-Posten” karykatur proroka Mahometa. W ten sposób stało się dla wszystkich jasne, że wolność słowa, druku i rysunku jest w naszym królestwie absolutna. Bo właśnie tak ją określają wybitni duńscy politycy. I równie oczywiste jest to, że cena takiej wolności musi być wysoka.

Zatem także i mnie, podobnie jak Duńczyków, spotkała bolesna kara. Jeżeli nikt nie palił moich flag i nie napadał ambasad, to jedynie dlatego, że wcale ich nie posiadam. Zostałem ukarany w inny sposób. Przecież wydałem, chociaż na szczęście jedynie Polakom, czyli nikomu, wielką tajemnicę, która na zawsze miała pozostać głęboko ukryta. Odślaniając skrywane dotąd przez badaczy nieprzyjemne cechy Filozofa,

bezlitośnie zszargałem dobre imię Danii, prawdę zaś wykorzystałem do wyraźnie niecznych celów. Zostań zatem, Svedesky, bezrobotnym, abyś nie mógł już więcej czynić zła! O, Sweryski, doigrałeś się po trzydziestu pięciu latach pobytu w Danii! Spadaj teraz, Sviderici, po równi pochyłej pomiędzy pijaków i narkomanów, prostytutki i muzułmanów (moi bliźni w islamie, nie zabijajcie mnie za te słowa, przysięgam na wspólnego nam Boga: to naprawdę cytat)!

Chociaż nie wierzymy już w Europie ani w raj, ani w Najwyższego, dobrze wiemy, gdzie zostało umieszczone piekło. Naprawdę całkiem niedaleko. I wcale nie w piwnicy, położonej tuż pod restauracją z duńskimi potrawami, jak często sądzą obcokrajowcy. Skądże znowu. Piekło znajduje się na naszym poziomie. Wystarczy wyjść na ulicę, ruszyć przed siebie i po chwili skrócić w lewo, aby znaleźć się w najbliższym Urzędzie Pośrednictwa Pracy, zwanym czasami także, chociaż najczęściej nieprawdziwie, Urzędem Zatrudnienia, a w Danii po prostu ArbejdsFormidlingen. Bezrobotny, który tam wstępuje, zamienia się, niezależnie od płci, w upadłego anioła kapitalizmu, a jest to wstydliva rola, która nieco przypomina stosunek biblijnego Szatana do Wszechmogącego: ten pierwszy także był kiedyś na samym szczycie, ale spadł stamtąd na łeb, na szyję – a zapewne także na zawsze – i dlatego jest teraz nieodmiennie zły. Zresztą zupełnie niepotrzebnie. Przecież pozwala wielu dobrym ludziom, nie tylko matkom i ojcom, ale często i babciom, wskazać dzieciom właściwy kierunek na śliskiej, niepewnej drodze życia. Zły pojawia się wówczas w dobrych radach jako słynny „plan B”; wszak w przypadku nieposłuszeństwa „porwie cię szatan i tyle!”.

Z ludźmi bywa jeszcze gorzej. Okazuje się bowiem, że bezrobotny jest nikczemniejszy od wszystkich, nawet od Szatana, bo nie trudging ani głowy, ani rąk, stał się całkowicie bezużyteczny dla innych. Bez dobrego powodu zajmuje na świecie czas i miejsce, które mogłoby być o wiele skuteczniej wykorzystane przez lepszych od niego – przez porządnych ludzi wyęźonej pracy i zasłużonego odpoczynku. „Toż to nierób”, powiadają często o bezrobotnym zagonieni przechodnie, a niektórzy nawet dodają – „to zwykły śmieć”, jak czytamy w najnowszej książce, bolejącego zresztą nad tym faktem, profesora Zygmunta Baumana, a kto, jak nie on zna całą prawdę? Bezrobotny, jak zło, ma jedynie tożsamość negatywną: jest mniej niż zerem, o, jest po prostu nikim wobec każdego solidnie zatrudnionego, czyli prawdziwego człowieka. Ja stałem się właśnie takim człowiekiem-bez-pracy. Ale znikąd nie ma dla mnie ratunku, bo nawet Jezus nic nigdy nie obiecał bezrobotnym – chociaż sam nie był ani urzędnikiem, ani robotnikiem, ani księdzem, ani nawet politykiem. Czy właśnie dlatego nie zostały uchwalone w demokracji lepsze prawa dla bezrobotnych, a także tych, co nie używają lokalnego języka (na przykład muzułmanów), wygnańców, słabszych i – wręcz słabych? O, mówią z troską nasi duchowi pasterze, skoro chcecie Go naśladować, musicie znaleźć sobie jakąś, choćby byle jaką, pracę...

Zresztą może w ogóle nie warto o tym pisać? Przecież współcześni pisarze tak bardzo cieszą się sukcesami swoich bohaterów... nawet pragną za ich rzetelny opis dostawać słodkie nagrody. Jakby ani w Polsce, ani na świecie nie było już głodu, nędzy i nieprawości.

Jakby język uczciwego pisarza nie musiał już wyrażać cierpienia bliźniego!

W mojej opowieści mówię o niedoli, o pomniejszaniu siebie, o zwykłej, ludzkiej klęsce. Kto zechce to przeczytać? Czy mogę zapracowanym czytelnikom wsuwać do obciążonej czytałem dłoni niebanalny ciężar? Nie wiem. Wiem jedynie, że mnie samemu wcale nie jest lekko. Przez dwadzieścia dwa lata byłem Polakiem: należałem do narodu wybranego i jakoś dawałem sobie z tym radę. W 1968 roku matka powiedziała mi szeptem, że jej matka była Żydówką i że odtąd (i wbrew mojej woli) jestem częścią narodu przeklętego. Zarzuciłem wtedy obcy los na plecy, był o wiele cięższy od poprzedniego, i od razu poczułem bóle w kręgosłupie, potem w brzuchu (w Danii stwierdzono, że był to wrzód żołądka), wreszcie, w ustach i nieco niżej, astmę. Ale Żyd nie może wybierać; bierze wszystko lub nie dostaje nic. Wziąłem zatem, co dała mi wówczas matka i szczodre państwo polskie. Co przez tyle lat było nie moje. Obce. Przeklęte i wyśmiewane, także przeze mnie. Ruszyłem na emigrację do Kopenhagi. Nie zawsze byłem w Danii bezrobotny. O, wcale nie. Dopiero pod sam koniec.

Jako bezrobotny odkryłem nagle, że słabi są pogardzani w najbardziej skuteczny sposób – po prostu głęboko chrześcijańscy Duńczycy obchodzą nas z daleka i łukiem, a przy przypadkowym spotkaniu spuszczają oczy, nagle szukają czegoś w teczkach i torebkach, czasami otwierają w panice gazety, nierzadko szybko rozkładają płachty lewicowego dziennika „Information”, który na swoich łamach z reguły broni bezrobotnych. Zakrywają nimi twarze, z aprobatą śledząc atak gazety na liberalny, niemoralny rząd, szanujący

jedynie pieniądź, profit i procent. O, jak bardzo boją się nas dotknąć, odczuć swędzący ból nędzy na swojej skórze! Uciekają jak najdalej, aby uniknąć zarazków biedy i bezradności. Dlatego przy drzwiach Urzędu Zatrudnienia nie znajdziesz prawdziwych Duńczyków. Ci, którzy przez te drzwi przechodzą, wiele razy pytają urzędników: czy uda się wam przerobić nas, tak już powoli chodzące ludzkie odpadki, w energicznych pracowników i zaprząć do roboty dla dobra ogółu? Odpowiadając, urzędnicy odwołują się do sponsorów walki z bezrobociem – do Nauki, Kościoła i Kapitału, do tego współczesnego, racjonalnie-świętego trójprzymierza myśli, wiary i pieniądza, gorąco popieranego przez Państwo. Nie zostawiamy tych ludzi sobie – wołają owe cztery, rządzące dzisiaj światem, litery NKKP – pokażmy bezrobotnym przede wszystkim bat, ale z przywiązaną na końcu marchewką. I tak się stało: odpowiednik zapomnianego już, a przecież tak dawniej skutecznego wezwania do pracy, komunistycznego sierpa i młota – nasz pocziwy bat, skrzyżowany z marchewką, stał się rozpoznawalnym znakiem demokratycznego Urzędu Zatrudnienia.

Idę powoli, jak chyba każdy bezrobotny, do kopenhaskiego Urzędu Zatrudnienia przy kolorowym placu Kulturvet. Po drodze mijam inną, równie ważną instytucję – knajpę Harry’ego, ulokowaną w piwnicy dwustuletniego domu o właśnie odnowionej, różowościankowej fasadzie. Jak tyle innych godnych zaufania osób także ja wiem, że to praca, rzecz jasna, nadaje nam tożsamość i czyni z nas ludzi (niekiedy nawet bardzo porządnymi, oczywiście według ich własnego wyobrażenia), pozwala bowiem szybko odpowiedzieć na tak częste pytanie: kim jesteś? Mówimy wówczas: urzęd-

nikiem, badaczem, szewcem, studentem lub (szepsem) bezrobotnym. Albo nic nie mówimy, zaciskamy mocno wargi i mrużymy oczy, a wtedy wszystko wiadomo: o, ten to z pewnością, proszę ja was, premier, minister, dyrektor, profesor, a co najmniej polityk z Sejmu lub dziennikarz z telewizji.

Zadymiona knajpa Harry'ego z ciężkimi, solidnie trzymającymi sufit drewnianymi belkami, co wiele widziały, mocno poczerńiałymi w wielu miejscach i wąskimi zydlami, co wiele wytrzymały, pozwala zapomnieć o współczesnym ciężarze tożsamości. Po wypiciu pewnej ilości płynów przestajesz być urzędnikiem, szewcem czy dyrektorem, a stajesz się powoli sobą, może dlatego, że z powodu gęstego dymu nie widzisz innych i nie możesz się z nimi porównać. Uśmiechasz się zatem, szczerze zadowolony z siebie, z odbicia miłych rysów twarzy w szklance piwa i nawet z bliźnich – zapewne dlatego, że przebywają gdzieś obok, w bezpiecznej odległości. Słyszysz ich, ale są poza zasięgiem dłoni. („Patrzeć, słuchać, ale nie dotykać”, jak uparcie powtarzała jedna z moich znajomych. Niepotrzebnie, bo była nieatrakcyjna. Oraz także bezrobotna).

Niestety, dobre rzeczy często miewają zły dzień. Po wypiciu rozsądnej ilości alkoholu znowu zarzucasz kilkudziesięciokilogramową tożsamość na plecy i idziesz do domu, a czasami nawet do pracy. Lub jeszcze gorzej: do Urzędu Zatrudnienia. Bez wielkiej ochoty. Wolno. Wolniej. Powoli. Szybciej ode mnie nadchodzą noworoczne święta. Ale czy ja, człowiek bez praktycznego zawodu, mogę iść z nimi w zawody? Postanawiam jedynie, że skoro zbliża się Gwiazdka, to nie pójde do Urzędu Zatrudnienia z pustymi rękami.